…

Porozumiewały się ze sobą za pomocą drgań. Nie miały ust, nie miały oczu ani nawet uszu. Z wyglądu przypominały raczej zwykłe kamienie w kształcie doskonałości. Ich kulista forma podobna była również do gładkiego wypolerowanego czoła. Czoła, które nigdzie nie miało początku ani końca. Właśnie tak siebie widziały lub lepiej – czuły. Nie posiadały również żadnego koloru, rozpatrywane pojedynczo byłyby przezroczyste jak powietrze.

Istoty te żyły w bardzo gęstej i zawiesistej cieczy, która bardzo silnie reagowała nawet na najmniejsze drżenia powierzchni. I to właśnie ta ciecz była nośnikiem fal pojawiających się przy każdym, nawet najdelikatniejszym ruchu. Dzięki drżeniu mogły widzieć świat i siebie nawzajem.

Niezwykłe te stworzenia nie nazwały się nigdy, ponieważ nie widziały takiej potrzeby. Z tego samego powodu nigdy nie nazwały też swojego języka. Dla tej przyczyy, przyjmijmy roboczo, że należały one do gatunku *lapis* dzielących się na *lapisydy, lalisady* i *lapisale.* Ich język polegający na określonych drżeniach nazwijmy *tremor*, a sam akt mówienia – *tremere.*

Czym różniły się te istoty? Lapisydy były nieco większe od pozostałych. Szybciej przetapiały się w ciecz, szybciej się nagrzewały, a także częściej wysyłały komunikaty. Lapisady zaś były maleńkie jak pojedyncze ziarenka piasku. Tworzyły najmniejszą porcję, jaką może mieć dana wielkość fizyczna.. Najczęściej ustawiały się one na lapisydach, by tworzyć na nich, jak na podstawach, niesamowite konstrukcje. Czasem przybierały one formę spirali, czasem strzelistych łuków, a czasem labiryntów. Ale zazwyczaj były dużo prostsze i układały się w proste, przestrzenne figury. Gdy tylko poszczególny element rozpuszczał się w cieczy, od razu zastępował go inny – nowy. I to była właśnie funkcja lapisali. Były one kroplą twardniejącej cieczy, która rosnąc, zmieniała się w lapisyda lub nie rosnąć, w palisadę.

Lapisy nie zamieszkiwały żadnej planety, ale raczej coś na jej kształt. Była to kula złożona z samych substancji ciekłych, spośród których nieliczne tylko jaśniały pięknym blaskiem, inne zaś przypominały błotną czerwień lub czerń. Spośród wszystkich obiektów w kuli, jedynie lapisy występowały w stałym stanie skupienia, przynajmniej póki nie stopiły się, zatracając swoje pierwotne cechy.

Było ich dużo, niemierzalnie i niezniszczalnie dużo. Ponadto były ze sobą w tak intensywnym kontakcie, że niezwykle trudno było w nich zauważyć jakiekolwiek cechy pojedyncze. Składały się raczej na setki mikroukładów, które ciągle zdarzały się od nowa.

Dlaczego od nowa? I lapisydy i palisady odnajdowały ogromną radość w budowaniu. Uważały siebie jedynie za część całości, za fragment powstających kształtów i faktycznie nimi były. Z samego aktu stwarzania czerpały siłę, to w nim się odradzały i w nim umierały. Struktura była ich życiem, była ich trwaniem. Wszystko co porusza, musi być przez coś poruszane. Byty te były poruszane właśnie przez czysty akt twórczy. To je karmiło i to nadawało im sens. Konstruowały i dekonstruowały, by znów konstruować. Do tego właśnie, i tylko do tego, potrzebny był im język. Dzięki niemu mogły wspólnie dokonywać pomiarów i modelować. Stąd wynikało, że były w ciągłym ruchu, nieustannym i nigdy się niekończącym. Ale nie konstruowały czegokolwiek – konstruowały piękno. Przyciągały się, ale nie przez prawo powszechnego ciążenia lecz przez prawo powszechnego piękna. Obiektywnego piękna symetrii i geometrycznych prawideł. Piękno to było ich religią, religią bez bogów, religią abstrakcji wcielonej – wcielonej w obiekty matematyczne. I w tym mieściła się ich cała moralność, cała emocjonalność i cała siła.

Czy wiedziały, że istnieją? Nie, to nie było dla nich ważne. I choć potrafiły myśleć, ważnym dla nich było jedynie ich dzieło. Każdy lapis mógłby powiedzieć o sobie „jestem, choć o tym nie myślę", nie zaś „myślę, więc jestem". Mógłby, ale zagadnienie to byłoby dla niego całkowicie nieinteresujące. Lapisy miały naturę tylko i wyłącznie społeczną, wspólnotową. Indywidualizm i jednostkowa samoświadomość były im całkowicie obce. Zresztą w skali indywidualnej nie byłyby ani piękne, ani nie mogłyby tworzyć. Nigdy nie zrezygnowały z siebie, bo nigdy nie miały też poczucia siebie. Odczuwały swoje istnienie jako siatkę istot żyjących dla tego samego celu, ze wspólnym ośrodkiem umysłowym rozciągniętym na każdego lapisa. Tak więc każde z tych stworzeń było centrum a zarazem pograniczem bytu zbiorowego o jednej współboli. A wola ta, czy była wolna? Każdy pojedynczy lapis był zdeterminowany i nie miewał wyboru, jednakże wszystkie lapisy brane razem w pewnym zakresie wolną wolę posiadały. To od nich zależało jaki obiekt z nich powstanie. I nigdy się nie myliły. Ich obliczenia zawsze pozostawały bezbłędne. Dlatego też nie potrzebowały żadnej empirii jako istoty nieomylne.

Najprawdopodobniej cywilizacja ta ani nie byłaby interesująca, ani też nie zaskoczyłaby nikogo, gdyby nie jedno zadziwiające wydarzenie. Otóż, bez żadnej wyraźnej przyczyny, stało się tak że owe lapisy, z poukładanych, uwielbiających harmonię ciał, stały się nagle chaotyczne. Zaczęły bezsensownie uderzać o siebie, rozszczepiać, łączyć, reagować ze sobą, multiplikować a nawet zatracać swą początkową naturę. Lapisale pojawiły się nagle, bez oczekiwania na śmierć lapisydów lub lapisad, a te ostatnie zrezygnowały z wzorów geometrycznych i swobodnie, bez wzajemnych konsultacji, zaczęły kierować się własnym rozeznaniem (lub jego brakiem).

Ta niezrozumiała lapisowa rewolucja miała także inne, bardzo daleko idące konsekwencje. Każdy, pojedynczy lapis mógł znajdować się w wielu miejscach równocześnie, jakby opanował

umiejętności bilokacji. A to, gdzie miał się znaleźć za chwilę, stało się nie do przewidzenia. Wszelka hierarchiczność konstruktów, logika cudownych brył, prysła. Zamiast niej pojawił się chaos wielkiej niewiadomej.

Oczywiście nikt tego nie kontrolował (chyba) ani też nikt tego nie rozumiał (chyba). Zresztą nikt nie próbował. Lapisy wiedziały tylko, że nastąpiła jakaś zmiana warunków początkowych. Była to zmiana bardzo delikatna i ledwo wyczuwalna, a jednak każde ze stworzeń ją wyczuło. Dokonała się ona poprzez tremere łagodne i niezwykle subtelne. Owe tremere zwiastowało nowy początek. Początek wywołany zaledwie nieznacznym drżeniem. Drżeniem nie wiadomo skąd. Była to energia nieznanego pochodzenia, o nieznanym źródle. Ledwo uchwytna lecz brzemienna w skutkach. Wyglądało to jakby nowy, tajemniczy architekt nałożył się na poprzedniego architekta i zaczął albo kierować jego ruchami na sposób nowy i nieznany albo jedynie zaburzył stare zasady i teraz czekał na efekt swojej zabawy. Lecz równie dobrze mógł być to zaledwie przypadek. Jakaś zagubiona kosmiczna siła, która z całą beztroską swej nieświadomości spadła na przypadkowe ciała i je spętała nowym oddziaływaniem. Zresztą, co za różnica? Dla lapisów żadna.

Wraz ze zmianą pojawiło się coś jeszcze – czas. Wcześniej lapisy istniały poza czasem, w cyklicznej przestrzeni powtórzeń. Chaos wraz z nieuporządkowaniem ruchów wniósł coś jeszcze – entropię. I wtedy nastąpiło uczasowienie. Nie dotyczyło jednak ono samych lapisów. One pozostały elementem ciągle odnawialnym, a więc nieprzemijącym. Uczasowienie zostało coś innego, coś co wcześniej tylko sobie trwało. A była tym przestrzeń. Przestrzeń kuli złożonej z cieczy i ciał stałych. Od teraz nic co się wydarzyło, nie mogło się już powtórzyć. Nic już nie mogło być takie same.

Dysharmonia, ciągła dysharmonia. Ale czy na pewno? Czyżby lapisy zmieniły swoje rozumienie piękna? Może symetryczna naga struktura przestała być dla nich wyznacznikiem doskonałości? Otóż nie, wcale nie! Z nieprzewidywalności ruchów zaczynało wyrastać coś, co wcześniej nie miałoby prawa istnieć. Z lapisydów, lapisad i lapisali powstała makroistota. Sprzeczność wyłoniła ład, a zamęt harmonię.

To, co działając w pojedynkę, zdawało się tańcem szaleńca, zebrane w całość stało się tworem osobnym, skończonym i matematycznie pięknym. To, co w szczególe nieuchwytne, obserwowane jako całość było czymś większym i czymś wspanialszym od brył, prostych układów czy symetrii. Jak deszcz, który oglądany z bliska składa się z niepowtarzalnych kropel, widziany z daleka staje się gładką, regularną ścianą. To coś było człowiekiem, człowiekiem zanurzonym w cieczy.

Człowiek ten rósł i rósł, aż okazało się, że owej cieczy robi się jakby coraz mniej. Co groźniejsze, kulista przestrzeń, która wcześniej wydawała się całym kosmosem, miała jednak

ściany! Wtedy stało się jasne, że będzie ciasno, coraz ciaśniej. Lapisy jednak, zupełnie na to nie zważając, dalej mnożyły się i dalej konstruowały.

Kiedy makroistota zrobiła się tak duża, że świata było dla niej za mało, sklepienie ścian pękło z ogromną siłą, a wszechogarniająca ciecz wylała się. Pęknięcie to powiększało się z każdą sekundą, chcąc wchłonąć także figurę rąk, nóg i głowy, figurę ciała. Człowiek nie mógł się już bronić. Mimo swej siły, był za słaby. Krzycząc, wpadł do dziury, by już nigdy nie wrócić z powrotem. A lapisy wraz z nim. W zderzeniu ze światłem nabrał setek wybujałych barw, choć lapisydy, palisady i lapisale pozostały przezroczyste. Od razu wtulił się do piersi matki, nie myśląc ani przez moment z jakiej materii składa się on i cały otaczający go świat.

Człowiek okazał się największym dziełem maleńkich istot przypominających karmienie i piasek. I choć był ich tworem i celem, był jednocześnie jakąś odległą peryferią ich działania. Lapisom chodziło przede wszystkim o akt tworzenia, o piękno a każda makroistota okazała się być ciągle stwarzaną na nowo i piękną. Choć był to świat zupełnie zamknięty dla jej poznania zmysłowego. Zresztą świat ten zdawał się totalnie przeczyć tak zwanym zdrowemu rozsądkowi i chłopskiemu rozumowi.

Nad brzegiem wody przypominającej sklepienie siedział dwuletni chłopiec przyglądający się oceanom nieba. Słońce niczym wielka łódź z tysiącem promienistych masztów zdawało się utknąć wśród niebieskich mielizn. Gwiazda raziła chłopca więc ten spojrzał na cień, by dać ulgę swym zwężonym źrenicom. Wtem ujrzał tam prawdziwy skarb! Całe mnóstwo wypolerowanych przez morskie fale kamieni o kształtach kulistych. Szybko więc do nich podbiegł zachwycony ich potencjałem. Usiadł w cieniu i wziął w swoje drobne różowe rączki pojedyncze kamyki i zaczął układać. Tworzył dla samego aktu tworzenia i dla piękna układów, które powstawały na skutek ruchów drobnych paluszków.